ROZMAITOŚCI.

Dnia 6. lipca N^er^ 27. roku 1844.

LEA MERIEL.

(Dokończenie.)

3.

Miesiąc upłynął po owém zdarzeniu, gdy młody lekarz, który niedawno założył aptékę w małéj uliczce w pobliżu opactwa westminsterskiego w Londynie, zaczął się użalać na mały odbyt; wtém wszedł nagle do jego aptéki ten sam młody mężczyzna, któregośmy owéj nocy u przełożonego przysięgłych widzieli. Obcy bywał w niéj często kupując różne chemiczne materyjały. Tą razą nie miał w myśli co kupować, ale zaproponował lekarzowi, czyby natychmiast nie pojechał z nim do odległego hrabstwa, gdzie jedna dama pomocy jego potrzebowała. Bankot na 20 funtów szterlingów, to jest 200 złr. w monecie, wszelkie przerwał namysły lekarza. Powierzył aptékę jednemu z swoich kolegów, a nazajutrz odjechał pocztą z owym młodym mężczyzną nie wiedząc dokąd.

Podróż trwała dwa dni. Młody lekarz ujrzał swoją pacyjentkę w jedném miasteczku, którego nazwisko i jeograficzne położenie, całkiem mu nieznane były. Dóm w którym mieszkała był szczupły, ale schludny. Najbardziej zastanowiła młodego lekarza nadzwyczajna piękność i wyraz rozpaczy malujący się w rysach damy, którą nikt inny nie był tylko Lea Meriel.

Obcy na krok jéj nie opuszczał; największe przywiązanie zdawało się ich łączyć; a jeżeli czułą była miłość owéj kobiéty, to jego, przechodziła prawie zmysły. Po długiéj, cichéj z nią rozmowie, rzucał się często przed jéj łóżkiem na kolana i jęczał; byłato jawna rozpacz. Czasem znowu zerwał się nagle, bił się pięścią w głowę i jak szalony biegał po pokoju. Lekarz mieszkając pod niemi, słyszał go całe nocy tak się przechodzącego, rozmawiającego z sobą, i płaczącego po kilka godzin.

Jednéj nocy nagle obudzono lekarza, a nazajutrz spoczywała młoda kobiéta czule całując nowonarodzonego.

Dziécię przyszło na świat z szczególném znamieniem; środka czaszki nie było zupełnie, a przez otwór można było dokładnie nie tylko czuć ale i widzieć obieg krwi w mózgu. Nadto całe czoło było krwawém znamieniem oszpecone. Zresztą było dziécię dobrze zbudowane i zupełnie zdrowe.

Przykro było młodemu lekarzowi, że miał oznajmić ojcu, iż jego dziécię, przedmiot tylu życzeń i nadziéi, było potworą, to jest istotą godną politowania. Musiał jednakowoż wypełnić powinność swoje, i udał się na górę do swego gospodarza. Gdy na zwykłe odpowiedział zapytania o stanie matki i dziecięcia, zebrał całą odwagę i rzekł:

»Ale muszę jeszcze jednę okoliczność oznajmić panu... którą gdybyś sam odkrył nie będąc przygotowanym, mogłaby cię łatwo srodze przerazić.«

Młody mężczyzna zbladł i zakrył twarz obydwiema rękami.

»Dziécię« mówił dalej lekarz, »przyszło z brzydkiém znamieniem na świat.«

Ojciec pobladł jak ziemia — wzrok jego omdlał — zatoczył się jak pijany.

»Czoło krwawém znamieniem jest oszpecone, i brakuje środka czaszki.«

Zaledwie wymówił ostatnie słowa, gdy młody mężczyzna skoczył do niego, chwycił go za gardło, i zgrzytając zębami potrząsł nim całym.

»Nędzniku!.. Szpiegu niepoczciwy!..« krzyknął, »chcesz podstępem wybadać na mnie tajemnicę? Czy mnie masz za obłąkanego?« Szczęściem lekarz był dosyć silny człowiek; wnet pokonał swego przeciwnika i posadził go przemocą na stołku.

»Mój panie,« rzekł potém, »prawdziwie dziwić się muszę nad takiém obejściem.«

»Przebacz mi panie doktor,« rzekł młody mężczyzna, którego twarz od wstydu nagle się zarumieniła, »przebacz mi pan.... prawdziwie nie byłem przy zupełnych zmysłach.... taka bowiem wiadomość.... przebacz mi pan...«

Nalał śklankę wina i spokojnym głosem mówił daléj:

»Słucham więc... przygotowany'm na wszystko co mi pan masz powiedzieć... wstydzę się... bardzo się wstydzę, żem się przez głupstwo tak dalece uniósł.«

Gdy lekarz przestał mówić, zapytał go młody mężczyzna, czy nie wié przyczyny tak szpetnego znamienia. Lekarz odrzekł: »Zdaje się, że kształcenie czaszki nagle się wstrzymało, reszty znamienia nie mogę wyjaśnić sobie.«

»A jakże prędko będzie można tak dotkliwą nowinę donieść choréj?« zapytał obcy.

»Na jéj słabość, potrzeba przynajmniéj dni cztérnaście aby przyszła do siebie.«

»Więc dobrze panie doktor. Będziesz łaskaw tak długo pozostać u nas; stratę czasu hojnie wynagrodzę panu.«

Tak kilka dni upłynęło, a Lea nie spostrzegła znamienia dziecka. Nakazano mamce, aby zawsze kładła opaskę dziecku na czoło; a nic nie było łatwiejszego, jak wmówić w matkę że takowa koniecznie potrzebną była. — Dnia jednego, gdy się dziecko obudziło, tak się bardzo ruszało, aż się zawiązka zsunęła z głowy. Lea całując właśnie wtedy dziecko, wydała krzyk przeraźliwy, i padła bez zmysłów na łóżko. Doktor przybiegł i pocieszał ją kilkakrotném zapewnieniem, że nie ma się co obawiać o życie dziecka. Ona nic nie mówiła, tylko tém czuléj przyciskała dziecinę do siebie. — »Ach doktorze,« rzekła nareszcie, »pan nie wiész tego co ja. Dla niego będzie to widok okropny....«

»On już wié o wszystkiém.«

»I jakże tę wiadomość przyjął?«

»Jak mógł. Zrazu zdawał się być nieco pomieszany.... ale tego trzeba się było spodziéwać.«

»Biedny Johnie!« i biedna zalała się łzami.

Zresztą odkrycie to żadnéj nie zrobiło innéj zmiany na niéj, jak tylko, że tém bardziéj kochała dziecko; była ona najczulszą matką, jaką kiedy widziano. Na chwilę nie spuściła z oczów dziecięcia, bezustannie całowała je i obléwała łzami.

Nareszcie gdy doktor zawiadomił gospodarza, że matka dziecięcia zupełnie już do zdrowia przyszła, odesłał go tenże nazajutrz pocztą do Londynu.

W dzień jego odjazdu trzymała Lea czarodziejka niemowlę na rękach i rozmawiała z niém, jak gdyby ją już rozumieć mogło, gdy nagle wszedł młody mężczyzna, którego Johnem zwała, do pokoju, i nie rzekłszy ani słowa usiadł przy niéj na łóżku. Zdawał się być strasznémi myślami dręczony, twarz jego bowiem była posępna, a za najmniejszém poruszeniem okropną zdawał się czuć boleść.

»Leo,« rzekł nareszcie, »ty koc[illegible] mowlę?«

Zamiast jakiéj odpowiedzi, bardziéj tylko tuliła dziecinę do siebie.

»A jednak musisz się z niém rozłączyć, moja droga. To dziecko bowiem przeznaczone jest być moim zabójcą. Tak Leo! Piérwéj czy późniéj...... Widzisz to szkaradne znamię na jego czole.... Mogłażbyś żyć spokojnie, gdyby tak okropne wspomnienie stało ci przed oczyma?... Ja się nie mylę... jak to słońce widzisz, tak to jest pewne, że to dziecko będzie moim zabójcą.... Mam przeczucie, które się nie da wyrazić, a którego sam pojąć nie mogę.... może to jest głos nieba.... Ale nie trzeba nam rozpaczać. Wszystkich użyję środków, aby zwléc, a może i całkiem zapobiédz temu okropnemu zdarzeniu. Bóg świadkiem, nie z przywiązania ku życiu, ale z przywiązania ku téj dziecinie! Nie chcę aby ono doznawało kiedyś tych okropnych męczarni, które mię dręczą całe życie, bez nadziei jakiéj ulgi w piekielnéj zgryzocie mojéj!«

»Johnie! Johnie!« zawołała Lea zaléwa-

jąc się łzami. »Ty, widzę, od zmysłów odchodzisz!«

»Nie... nie jestem téj natury co inni ludzie; inaczéj już oddawna zamkniętoby mię w domu szalonych, albo byłbym się oddał karzącéj sprawiedliwości, aby ujść zgryzoty sumienia. Ach, wszystkie zebrałem siły, aby cierpieć tém więcéj.. widzisz żem przy zdrowych zmysłach jak dawniéj.... Ale ty musisz się pożegnać z twoją dzieciną.... znalazłem ludzi uczciwych którzy jadą do Ameryki; jedna młoda kobiéta utraciła właśnie dziecko, z radością więc przyjmie nasze za swoje.«

»Nigdy! Przenigdy!.. Sama się wolę oddalić.... wezmę je z sobą do Ameryki, albo w którą stronę świata udać mi się każesz... Będę je chować według twéj woli.... ale żadna przemoc nie wydrze mi dziecka mego!«

»Nie, nie Leo! Ty ze mną pojedziesz i zostawisz tu ten nieszczęsny owoc naszéj miłości, który tak okropném piętnem oznaczony jest... Bez ciebie żyć nie mogę, nie mogę cię opuścić... Leo! Droga Leo! Ty jesteś życiem mojém... cóż mi po życiu bez ciebie.... Osiędziemy w nieznajomém miejscu, w dalekiéj świata stronie, tam będziemy bezpieczni od zamachów tego dziecka, które niebo zesłało, aby pomściło zbrodnię moję.«

»Nie, nie Johnie! To być nie może; kocham cię nad życie, ale gdzie ta dziecina będzie, tam i ja być muszę.... Wszak to jest krew moja, jam go w żywocie nosiła!«

Biedna matka rzuciła się przed Johnem na kolana, i zaklinała go ze łzami, aby ją nie pozbawiał dziecięcia. — Ale daremne były jéj błagania; nic nie mogło zmiękczyć ojca, i stanowczo oświadczył Lei, że raz ostatni widzi dziecko swoje.

Widząc że niczém nie może zmiękczyć kochanka swego, prawie rozpaczać zaczęła; nareszcie prosiła go, aby ją do ostatniéj chwili samą z dzieckiem pozostawił. John pozwolił na to i wstał chcąc się oddalić; w chwili gdy wychodził, pobiegła ku niemu i uściskała i ucałowała go zaléwając się cała łzami. John nie mógł pojąć téj zbytniéj czułości, ale żal mu było rozczulonéj matki; wyszedł więc nie pytając co to miało znaczyć.

Gdy nazajutrz ku południowi wszedł do jéj sypialni, aby jéj oznajmić przybycie osób, które dziecinę wziąć miały, nie zastał jéj. Puka do drzwi drugiego pokoju, nikt nie odpowiada, otwiéra, niéma nikogo; pyta się mamki i służących, ci nic nie wiedzą; nikt nie widział Lei.

Znikła gdzieś Lea; uciekła z swoją dzieciną.

Kilka chwil stał jak piorunem rażony, nareszcie rzucił się na łóżko, i zaczął gorzko płakać. Długi czas wił się jakby w najsroższych boleściach; nareszcie zerwał się nagle, zawołał służącego, kazał osiodłać konia, siadł i jechał galopem, sam nie wiedząc dokąd. Tak błąkał się ze siedm dni w okolicy, pytał wszystkich podróżnych których napotkał, wstępował po wszystkich gospodach i hojne obiecywał nagrody tym, którzyby mu pomogli znaleść zbiegłą. Ale daremnie. Ujrzał się nareszcie pozbawionym nadziei widzieć już kiedy Lę. W kilka dni potém wyjechał z kraju.

4.

Prawie w trzydzieści lat po tém zdarzeniu, umarł nagle spólnik papierni pod firmą »B a z y l i s p ó ł k a.« Pan Bazyl był wówczas za granicą, gdzie całe życie przepędził. Adwokat jego doniósł mu, że fabryka została bez zarządu; aby więc jak najpredzéj pospieszał do Anglii, i albo sam zajął się fabryką, albo nowego przyjął spólnika.

Na to doniesienie nic nie odpisał John Bazyl, ale może w sześć miesięcy sam stanął w miejscu. Wówczas mógł liczyć pięćdziesiąt do sześćdziesięciu lat. Znacznie już był pochylony, zamyślony ustawicznie, cała jego fizognomija była poważna; widać zresztą było, że miał jakieś ważne dzieło na myśli.

Sam objął zarząd fabryki, i całkiem zdawał się jéj poświęcać. Kazał zburzyć owe stare ruiny, które niegdyś żebraczka zamieszkiwała, a w ich miejscu wybudował szkołę początkową dla dzieci robotników. Dom w którym pierwsze dni młodości spędził, sprzedał, a wybudował nowy śród owego wrębu, gdzie niegdyś czarodziejka Lea z tajemniczym kochankiem swoim tyle błogich

chwil spędziła. Zaledwie ukończono mieszkanie, zaraz się wprowadził do niego.

Odtąd żył całkiem samotnie, unikał wszystkich i poświęcał się jedynie mechanice. Zaledwie rok upłynął, wydoskonalił znacznie mechanizm w fabryce, a wkrótce wynalazł machinę, która większą połowę ludzi w fabryce zastępowała. — Można sobie łatwo wyobrazić jak to oburzyło robotników, którzy przez wynalazek owéj machiny zarobku swego pozbawieni byli. Ale pan Bazyl nie uważał na ich narzékania; wiedział on dobrze jaka korzyść dla potomnych z tego wynalazku wypłynie, i niczém nie dał się zastraszyć; dostał przywilej na swój wynalazek i pracował tylko nad jego upowszechnieniem.

W jedném z hrabstw północnéj Anglii, jest wielkie fabryczne miasto; w pobliżu tegoż znajdują się liczne papiernie. Tych właściciele doświadczali machiny pana Bazyla, i tak byli jéj skutkiem zadowolnieni, że postanowili na cześć wynalazcy, który właśnie wówczas przybył do miasta, świetną wyprawić ucztę. Chociaż przed parą dniami kilka groźnych odebrał biletów, i nawet o zamachu na jego życie mówiono, nie dał się niczém zastraszyć, i przyjął bez żadnego zabezpieczenia swéj osoby tak pochlebne wezwanie.

Miejscem gdzie ową ucztę obchodzić miano, była sala w najpiérwszym hotelu miasta; była na dole, dwa okna z frontu wychodziły na ulicę, a drugie dwa naprzeciw do ogrodu. Aby się dostać do hotelu, musiał pan Bazyl pchać się przez tłum robotników, którzy liczne złorzeczenia i szydercze mowy na niego miotali. Na ową ucztę zebrało się może ze cztérdzieści osób, i bardzo przyjemnie spędzano wieczór. Liczne spełniano toasty, bawiono się rozmową, i obsypywano pochwałami pana Bazyla. — Późno już było, a twarz mechanika ani na chwilę nie rozweseliła się, gdy naraz powstał nagle, postąpił ku oknu i wychylił się, jak gdyby czemu się przysłuchiwał. Na twarzy jego malowała się widoczna jakaś niespokojność. Wszyscy zwrócili z zadumieniem wzrok na niego, nie mogąc pojąć przyczyny owéj niespokojności. Przeprosił kompaniją za uchybienie, zdawało mu się bowiem, że słyszał za oknem imię, z którém ważne dla niego spomnienia się łączyły.

Po chwili powstał znowu, stanął przy oknie, i wychylił się nieco, jak gdyby za kim wyglądał. W téj właśnie chwili, dał się słyszeć krzyk przeraźliwy, skoczył wtył, zatoczył się i upadł na wznak.

Zaraz obskoczyli go wszyscy aby mu nieść pomoc. Spostrzeżono że jakąś błotnistą masą był obryzgany; całę oczy były nią pokryte, a jedna część twarzy była jak krew czerwona; na czarnym jego krawacie i na całej sukni widać było jakieś żółte plamy.

Jeden z gości chciał mu obetrzéć twarz, ale gorejący ból uczuł w palcach. Widocznie było, że co mieli za błoto, było mieszaniną kwasu siarczanego z piaskiem. — Straszne przerażenie opanowało wszystkich; oburzenie, przestrach, litość i największa wściekłość, malowała się na wszystkich twarzach. — Nie wiedziano coby robić; jedni krzyczeli aby pozamykać drzwi, drudzy aby przywołać policyję, inni znowu cisnęli się do niego, a tak krzyczano i biegano, nie niosąc biednéj ofierze żadnego ratunku.

Nareszcie jeden z przytomnych, który z-dawna chciał był zrobić jaki porządek, zaledwie dokazał tego, że mu podano wody. Był on pierwszym lekarzem w mieście. Obmył zaraz twarz pana Bazyl, kazał go przenieść do jednéj stancyi na piętrze i powtórzył zimne obmycia; ale wnet przekonał się, że wszystko było daremne. Piasek wrył się głęboko w oczy i nozdrza, cała twarz zdawała się być zczerniałą, całkiem spaloną masą, a oczy były całkiem wyżarte. Oślepł nieszczęśliwy! — Byłaż jeszcze jaka nadzieja uratowania go?... Bardzo wątpił lekarz.

Chory przyszedł na chwilę do siebie. Boleść którą ciérpiał, musiała być okropną; on który zdawał się nadzwyczajną mieć cierpliwość, krzyczał teraz i jęczał strasznie. Ból taki trwał 24 godzin, potém ustał zupełnie, wszystkie nerwy otrętwiały, a ciało zaczęło kawałkami odpadać.

Chory leżał w gorączce i fantazyjował, myślano że dostał pomieszania zmysłów, ale lekarz wszystko dobrze rozumiał, chociaż zdawało się być bez związku. Imiona które chory wymawiał, zdarzenia o których wspo-

minał, przywołały mu na pamięć przeszłość, która mu głęboko utkwiła w duszy. Nie mógł już wątpić, że to był ów sam człowiek, z którym przed trzydziestą pięcią laty tajemną ową podróż odbywał. Chciał się przypomnieć choremu. Wkrótce opuściła go gorączka, nie mówił już o zgryzocie sumienia, o zemście, wymawiał tylko z-cicha słodkie imię Lei Meriel.

»Czy schwytano sprawcę, panie doktor?« zapytał pan Bazyl.

»Nie,— z tak diabelską zręcznością spełniono zbrodnię, że ani śladu niéma, kto to zrobił. — Może pan potrafisz opisać zbrodniarza, aby go tém łatwiéj schwytać.«

»Ja go dobrze nie uważałem.«

»Wyznaczono znaczną nagrodę temu, ktoby go doniósł sprawiedliwości; ponieważ zaś zostający bez zarobku robotnicy, tłumem do Ameryki wychodzą, więc być może, że i on wyszedł, nim na niego padło podejrzenie.«

»Daj Boże!« szepnął cicho chory.

*

Przenieśmy się w jedno z przedmieść owego fabrycznego miasta, i wejdźmy do nizkiego posępnego domku. — W bardzo nędznéj izbinie, siedziała kobiéta już w podeszłym wieku. Głowę mając na ręku wspartą, a oczy na ogień zwrócone, zdawała się w smutnych myślach być pogrążoną. Niegdyś musiała być bardzo piękną, a ręce jéj i nogi, były bardzo małe.

»Ach!« rzekła z-cicha. »Czyż się już nigdy nie poprawi; czy już nigdy nie będzie takim jak dawniéj? — Żadnego dnia niéma aby nie był pijanym!.. Biada mnie!.... Na niczém spełzły moje nadzieje!... Maż mię mój syn bardziéj znieważać, jak niegdyś matka moja?... Jakże go uspokoić?... Jakże go nakłonić do życia porządnego?..«

W téj chwili rozwarły się drzwi, a biedna kobiéta zerwała się, jak gdyby chciała się schronić gdzie przed synem swoim.

Wchodzący był młody mężczyzna, wzrostu dobrego, ale bardzo obdarty. Na głowie miał czapkę z futrem głęboko na czoło wtłoczoną. Niezgrabny był w poruszeniach, a grubijańskie jego zachowanie mógłeś czytać na twarzy jego. Postał chwilę, zakrzyżował ręce, i wlepił wzrok w ziemię; ale wnet usiadł na jakiejś skrzyni, która w kącie stała.

»Matko,« rzekł ponurym głosem drząc na całém ciele, »matko, zabiłem człowieka!«

Biedna kobiéta, o mało trupem nie padła na ziemię.

»Prawie mię przymuszono do tego,« mówił daléj, »ciągnięto losy.... John Meriel wyciągnięto z kapelusza... a wszyscy poprzysięgliśmy.... O mój mocny Boże, jakże mi teraz okropnie, gdym zbrodnię popełnił!... Matko ja się boję... bardzo się boję!« I rzewnie rozpłakał się młodzian.

»Powiédz mi Johnie,« rzekła słabym głosem nieszczęśliwa, »cóż się to stało?«

»Ten.... wszak wiész, ten człowiek, co to ową machinę wynalazł, która nas chleba pozbawiła.. Bazyl.... no, ale się już stało!«

Jakby piorunem rażona, padła Lea na ziemię.

We dwa dni późniéj, zjawiła się jakaś stara kobiéta w hotelu, w którym Bazyl leżał. Była ona blada, drząca, całkiem wynędzniała, i słabym głosem pytała się, czy raniony jeszcze żyje.... Gdy się dowiedziała, że jeszcze żyje, i że nawet jest przytomny, prosiła odźwiernego, aby oznajmił choremu, że jedna kobiéta nazwiskiem Lea Meriel, bardzo sobie widzieć się z nim życzy.

Odźwierny zapytał doktora coby miał robić.

»Lea Meriel,« mruknął lekarz. »Więc nie omyliłem się. To spotkanie tylko przyspieszy koniec choremu. Ale i tak niéma żadnéj nadziei, a może będzie to jedyną jego pociechą, usłyszeć w ostatniéj chwili jéj głos, i uczynić ostatnie rozporządzenie.«

Kazał więc, aby przyprowadzono ową kobiétę; wprzód jednak poszedł uwiadomić o tém chorego.

»Wyście to Lea?« zapytał Bazyl z wielkiém wzruszeniem.

»Ja jestem Johnie,« odrzekła i usiadła na łóżku, ściskając rękę umiérającego.

Lekarz wyszedł.

»Lea,« rzekł chory, »myślałem żeś ty już dawno umarła. A tyś mnie jeszcze nie zapomniała; pamiętasz jeszcze o mnie... a przecież nie godzienem twojéj miłości.«

»Ciebie miałabym zapomnieć Johnie! Bóg moim świadkiem, żem nikogo nie kochała prócz ciebie i mojego nieszczęśliwego syna.«

»I jeszcze po trzydziestoletniém niewidzeniu, gdy już obrzydłym starcem, gnijącym trupem jestem, tak mówisz jeszcze?«

»O gdybym całą wieczność żyła, serce moje nigdyby się nie zmieniło. O, ileż ja ucierpiałam nieszczęśliwa!.. Myślałam żem za przewinienie moje zadosyć uczyniła, alem się omyliła.«

»Nie rozpaczaj Leo! Ciężko cię Bóg doświadczył, wszystkoś cierpliwie znosiła, sumienie twoje nic ci nie ma do wyrzucenia... Ach gdybym i ja mógł bez wzdrygnienia przejrzeć życie moje!... Nie okropnież to,« rzekł po chwili, »umiérać w takiéj zgryzocie sumienia!«

Lea zalała się łzami.

»O jakże srodze rani serce moje spomnienie zbrodni mojéj!.. Nie jestżem ja przyczyną twego nieszczęścia?«

»Johnie! Tyś mię tylko kochać nauczył... reszta jest własną moją winą.«

»A owa zbrodnia, najokropniejsza jaką tylko człowiek popełnić może!... Nie jestżem zabójcą życiodawcy mego!... Leo, przeczucie moje nie zawiodło mię! Bóg wyrył na czole syna mojego: Bądź jego mścicielem! i zemsta niebios spełniona. Tak Leo, nie postradałem zmysłów, widziałem dobrze przy świetle księżyca krwawe znamię, owo piętno przeklęctwa!«

Długie potém nastąpiło milczenie.

»Leo,« mówił daléj chory, »jeszcze mam jedne wypełnić powinność.«

W téj chwili wszedł lekarz.

»Panie doktor,« rzekł umiérający, »zmieniam moją ostatnią wolę. Każ pan zawołać notaryjusza!«

Można zgadnąć myśl umiérającego. Teraz gdy już widział, że przyjaciółka młodości jego żyje, nie chciał umiérać, dopókiby jéj nie zabezpieczył swobodniejszych ostatnich chwil życia. — Gdy mu oznajmiono przybycie urzędnika, po którego posłał, prosił, aby go na chwilę samego z nim zostawiono. Krótki ułożył testament, ale to natężenie zupełnie go osłabiło... Gdy widział zbliżającą się ostatnią chwilę, wymówił imię téj, którą nad życie kochał.... Gdy znowu weszła do pokoju, usiadła na łóżku, i ścisnęła rękę kochanka.... ale to już była ręka trupa.... Co tylko skonał ojcobójca!...

Zwłoki Johna Bazyl odwieziono do wsi, gdzie poznał i pokochał córkę żebraczki; złożono je w gotyckim grobie, który sobie jeszcze za życia wymurować kazał, a który podziśdzień jeszcze na cmentarzu widzieć można.

Lea nanowo żyła w owém miejscu, gdzie wiek dziecinny spędziła... ale wkrótce przeniosła się za tym, którego całe życie opłakiwała.

Umiérając oświadczyła życzenie, aby ją w tym samym grobie pochowano, ale krewni Bazyla sprzeciwiali się téj ostatniéj jéj woli. Tymczasem mieszkańcy wioski złożyli jéj zwłoki obok gotyckiego pomnika. Tam spoczywa czarodziejka Lea Meriel; żaden kamień nie oznacza miejsca jéj spoczynku.

Co się tycze jéj syna, nie można było dowiedzieć się, co się z nim stało. Trzy osób, jako o ową zbrodnię obwinione, aresztowano; ale John Meriel nie był w ich liczbie. Zdaje się, że z wychodźcami kraj opuścił.

Tł. F. Ks. Bełdowski.

USTĘP Z POEMATU:

ZBAWIENIE ŚWIATA.

PIEŚŃ I.

1.

Nie piszę bajek — więc nie wezwę Muzy —
Niech ci wzywają, co bałwanom służą —
Czy z Hipokreny piją, czy z Vaucluzy....
Prawego szczęścia ludom nie wywróżą.
Gwałty, najazdy, łupieże, rozboje,
Wawrzyny krwawe, zbrodnicze miłostki,
Puhary, tańce....... te Fortuny kostki,
Już więcéj struny nie uwielbią moje.

2.

Przed Tobą, Logos! Przedwieczna Istoto!
Pyłeczek prochu, w proch nachylam czoło;
Zginam kolana, z pokorą, prostotą,
Z dziecęcém sercem tętniącém wesoło.
Szczebiot dziecięcia Ojciec w Niebie słucha...
Więc o śmiertelne nie dbając poklaski —
Porzucam ziemię — a przed tronem Łaski
Uwielbiać będę wszystkich duchów Ducha.

3.

O Ty! którego Imię bez nazwiska
W miljonach światów wielbią milijony —
Którego słowo z chaosu zwaliska
Wywiodło ziemie, słońca, Orijony.
Syrjusze, Gemmy, Spiki i Arktury,
Kapelle, Miry, Wegi, Denebole *) —
Zasiało złotém ziarnem niebios pole,
Życiem i ruchem natchnęło natury!

4.

Ty! — który nié masz w przestrzeni mieszkania,
Bo jesteś w świecie, za krańcami świata!
Którego promień światokrąg osłania ......
A nie zasłoni wszech eterów szata!
Ty! od rozsądków ludzkich Niepojęty!
W Serafów myśli niedoścignion pędzie —
W gwiazdach, nad gwiazdy, za gwiazdami, wszędzie
Ty! Niestworzony! Święty! Święty! Święty!

5.

Ach! Ojcze światła, życia i natury!
Najwyższe dobro! i dobro jedyne!
Pozwól — przeniknąć zodjak i kolury —
Niech za bieguny kuli światów płynę!
Niech dobroć w źródle dobroci poznaję —
Ucz mię co dobre — ucz mię Ty jedynie,
Przed którym wszelka ziemska mądrość ginie,
Niczém przed Tobą Platony, Pilpaje.

6.

Chroń mię od podłéj, acz błyszczącéj zbrodni,
Od dumy, błędu, próżności i winy —
Czyhają zewsząd potępieńcy głodni,
Chcąc pętać ducha okruchami gliny.
Jakoż — o dziwy! pętają w istocie!
Widzę zpętane Magi **) Bileamy ***)
Marony, Tassy, Szyllery, Adamy....
Spętane ziemskich genijuszów krocie.

*) Imiona gwiazd.
**) Act. Apost. 8. 9. nast.
***) Num. 22. 8. nast.

7.

W tych pętach piają występników chwałę —
Tych, co braterskie tępili narody:
Jeszuy dzikie, Eneje zuchwałe,
Dumne Bouillony, zdrajcze Wallenrody —
Mają swych piewców jak Agamemnony,
Wściekłe Ajaxy, nieczułe Hektory,
Zdradzieckie Bruty, rozbójnicze Moory....
Znalazł Arjosta Orlando szalony!!

8.

O lutnio! lutnio! jakżeś jest spodlona!
A ty niebianko z pobliża Jehowy —
Siostro, ozdobo Cherubinów grona
Matko, rytmiczym wdziękiem brzmiącéj mowy,
Poezyjo luba, o poezyjo droga!
Tyż-to masz rodzić bałwochwalcze pienia?
Bluźnierstwa wymiot? zaśniady zgorszenia?
Lep i ponętę człowieczeństwa wroga?

9.

Nie, — matko święta! nie twoje to dzieci,
Kiedy występkom i bałwanom kadzą —
To sykofanty w Belzebuba sieci —
To niewolniki pod szatana władzą.
Anioł w piekielne przepaści ztrącony
Podrabia twoją archanielską szatę
Strojąc weń córkę — poczwarę Hekatę,
Nieźrałe wieszczki chwyta w swoje szpony.

10.

Nie twoim płodem szumne Odysseje,
Nie Eneidy, ani Ilijady —
Flegetonem duch morderczy zieje
[illegible]ty — i Henri — i wszelakie jady.
[illegible]ównież pochlebne dla tyranów ody,
Sprosne romanse, głupie trijolety
I zabobonne ballady, sonety........
Czysta niebianko! nie twoje to płody.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 27. i obejmuje: 1) Dodatek do uwag Antoniego Mysłowskiego nad handlem zbożowym z Galicii do Odessy i nad zaprowadzeniem żeglugi parowéj na Dniestrze. 2) O tegorocznym jarmarku na wełnę w Wrocławiu. (Z korespondencyi prywatnéj). 3) Literatura gospodarska.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 14. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Jarmark w Krośnie. (Dokończenie.) 2) Dwaj bracia z Katany, wiersz przez Dominika Magnuszewskiego. 3) Do czternastoletniej poetki, wiérsz przez Antoniego Kłobukowskiego. 4) Pan Gryff, czyli: Jedno z tych zdarzeń które się często przytrafiają. (Dokończenie.) 5) Miłość zdradzona, powiastka przez M* W*. 6) Uwiadomienie.

ZE LWOWA.

Młody wirtuoz Mieczysław Starzewski. Miłoto jest, nam widzieć jak na tém polu sztuki, gdzie nasi Lipińscy, Szopenowie, tyle chluby Polsce przynieśli, podczas gdy oni już na szczycie swojéj europejskiéj chwały stoją, nowo podrastające pokolenie przysparza coraz nowych następców a może kiedyś współzawodników ich sławy. Jedném z najwięcéj w tym względzie obiecujących zjawisk jest niezawodnie młody skrzypek Mieczysław Starzewski z Tarnowa, któregośmy mieli przyjemność słyszeć ostatniemi czasy w kilku koncertach. Mały dwunastoletni chłopczyna, wychowany w prowincyjonalném miasteczku, bez dostatecznéj nauki na swoim instrumencie, doprowadził jedynie przez swój nadzwyczajny talent i odpowiednią temu silną chęć kształcenia swoich zdolności, dziś już do tego stopnia, iż zjawiwszy się nieznany w naszéj stolicy, pozyskał sobie upodobanie publiczności i najzaszczytniejsze pochwały znawców. Inne tutejsze pismo czasowe, zajmujące się dokładniejszem ocenianiem produkcyj muzykalnych, wynosi zadziwiającą moc, śmiałość a oraz rzewność gry tego jenijalnego chłopczyny, który samem muzykalném swojém uczuciem umiał zastąpić brak piérwszego gruntownego wychowania. Lecz to wrodzone uczucie, chociaż nas dzisiaj dostatecznie o jego rzadkim talencie przekonać było w stanie, nie wystarczy jeszcze samo jedno do jego dalszego wydoskonalenia. Potrzeba mu nadewszystkiém przewodniczącéj ręki jakiego dzielnego mistrza, gruntownéj nauki w jakiém konserwatoryjum, przysłuchania się piérwszym teraźniejszym wzorom swéj sztuki. Dopiero wtedy mogłyby się te dziś jeszcze niepewnie dążące zdolności w zupełną rozwinąć doskonałość, a naród zyskałby o jedno sławniejsze imię więcéj. Oby tedy nasz młodociany artysta nie zaniedbywał swego dalszego wykształcenia — oby nas i tą razą nasze życzenia i nadzieje tak nie zawiodły, jak się to już tyle razy zdarzało!

Infuzoryja. Jak niedawne odkrycia przekonały, są całe obszary północnéj Ameryki pokryte warstwami 30 stóp grubości, złożonemi z samych resztek najdrobniejszych zwierzątek, to jest ze skorupek infuzoryjów, z któremi wyborne mikroskopijne postrzeżenia i prace Ehrenberga tak nas dokładnie zaznajomiły. Z owych geologijnych odkryć okazało się jasno, iż cała powierzchnia ziemi od rzeki Potomac aż do południowéj granicy państwa Wirginii składa się z podobnych warstew. Jedyném obcém ciałem, jakie się wśród tych skorupek infuzoryjów znajduje, są szczątki zwęglonych bezpłciowych roślin; z resztą jest ta cała masa z samych resztek owych niedojrzanych zwierząt złożona. Gdybyśmy uważając objętość skorupki każdego szczególnego zwierzęcia w stosunku do objętości całéj masy owych warstew, chcieli wyrachować liczbę tych wszystkich zwierząt, które tu swoje stałe cząstki zostawiły, tedy otrzymalibyśmy jako wynikłość liczbę, będącą — jeżeli się tak wyrazić możemy — czystém prawie niepodobieństwem, a przynajmniéj tak wielką, żeby nikt nie był w stanie zrobić sobie jakiekolwiek o niéj wyobrażenie. Tak więc najdrobniejsze nawet zwierzątka zdołały swojém ogromném rozmnożeniem zmienić powierzchnię ziemi, w miejscach na których żyły. Ta rzecz zasługuje na nasze największe podziwienie.

Posąg Bajrona roboty Torwaldsena stał się powodem osobliwego procesu, który właśnie przed angielskiemi trybunałami rozpoczęto. Torwaldsen utworzył był przed niejakim czasem posąg Bajrona i darował go kapitule westminsterskiéj pod warunkiem, aby mu wyznaczyła miejsce w kościele, pomiędzy poetami. Dar Torwaldsena został przyjęty, ale chociaż opactwo westminsterskie zawiera nagrobki wielu mężów, których religijność była równie problematyczną jak i Bajrona, nie pozwoliła przecież ortodoxyja

angielska na umieszczenie posągu autora »*Kaina*« i »*Don Juana*« w kościele Westminsteru, i nie odebrano nawet z komory owéj paki, w któréj się utwor Torwaldsena znajdował. Zawiadomieni o tém exekutorówie testamentu kazali poszukiwać posągu, który wreszcie całkiem porzucony i powalany, znaleziono w jakiejś piwnicy, wśród szczątków zgniłej już paki. Teraz pełnomocnik exekutorów zażądał powrócenia posągu; gdy jednak urzędnicy z komory weszli do piwnic, aby go wydać, pokazało się, że statua gdzieś znikła, a tylko resztki paki zostały. Exekutorowie testamentu Torwaldsena zażądali więc wynagrodzenia szkody od londyńskiéj komory; ta jednak odmawia wynagrodzenia, twierdząc, że urząd cłowy nie jest odpowiedzialnym za zwrócone towary, które zawsze na ryzyko właścicielów zostają w magazynach. Żądane wynagrodzenie wynosi podług oszacowania rzymskich rzeźbiarzy, którzy ten posąg przed jego odesłaniem do Londynu widzieli — 30,000 funt. szterl. czyli przeszło milijon złotych polskich.

Huśtanie jako środek przeciw suchotom. Pewien angielski lekarz imieniem J. Carmichael Smyth wydał w 18. wieku, dzieło, w którém wszystkim cierpiącym na płucowe albo inne suchoty zaleca częste huśtanie lub wożenie się w kołyszącém czółnie. Żegluga morska była doradzana od dawna jako nadzwyczajnie zbawienna dla suchotników; ztąd już starożytni Rzymianie, podlegający téj słabości, zwykle do Egiptu się udawali. Tak na przykład donosi między innymi Pliniusz, iż konzul Annaeus Gallo wyleczył się podróżą morską od suchot. Niektórzy lekarze przypisują tę siłę uzdrawiającą powietrzu morskiemu, inni zaś kołyszącym się ruchom okrętu i chwianiu się umysłu między obawą, nadzieją, wesołością i smutkiem, co bardzo skutecznie na system nerwowy działa. Celsus doradzał tym wszystkim którzy nie mogli miéć huśtawki, lektyki lub okrętu, używać *lectulos pensiles*, czyli łóżek, które podobnie jak kołyski mogą być na obie strony huśtane. Takież same huśtające łóżeczka zalecali rzymscy lekarze także na inne chroniczne słabości. Podobnież zalecano w starożytności głośne czytanie i deklamacyję jako środek do wykształcenia głosu i wzmocnienia organów piersiowych i oddechowych. Przez głośne czytanie wciąga się i wyziewa silnie powietrze, pomnaża się ciepłość i transpiracyja i uwalniają się płuca od wszelkiéj zbytniej wilgoci. Huśtanie zdaje się wywiérać też same skutki, z powodu sprawionego niém prądu powietrza, które z mniejszą albo większą szybkością wciska się w płuca.

Osobliwość historyczna. Dnia 14. lutego 1650 roku, uchwalili deputaci cyrkułu frankońskiego, na zgromadzeniu w Norymberdze, następujące postanowienie: »Dla pomnożenia podupadłéj szwedzką wojną ludności kraju, i zaciągnienia dostatecznego wojska przeciw pierworodnemu wrogowi chrześcijańskiego imienia, grasującym w Węgrzech Bisurmanom, — mają być odtąd, przez cały ciąg czasu od r. 1650 do r. 1660, wszyscy młodzieńcy i wszystkie dziewice liczące mniéj 60 lat wieku, wyłączone od przyjmowania do stanu duchownego; tudzież ma być wszystkim księżom, którzy nie żyją w klasztorach i kollegiatach, wolno i niewzbroniono żenić się zaraz; każdemu zaś mężczyznie jest pozwolono brać dwie żony, z tém jednak napomnieniem, które i z ambon ma być częściéj publicznie powtarzane, aby się z obiema przyzwoicie i z równą wiernością zachowywali.«

Zniszczony człowiek. Ogromne bankructwo domu Caccia rozniosło pomiędzy paryzkimi kapitalistami przerażającą, chociaż może zbawienną trwogę. Porwany szałem zapamiętałych spekulacyj, przywiódł się jeden z najdawniejszych i najlepiéj ustalonych banków sam do upadku. Śpiewak Tamburini wyszedł na gorzéj na téj klęsce. »Wracając niedawno z Rossyi,« — opowiada dziennik *Siècle* — »rozłożył Tamburini w Paryżu z jaśniejącem obliczem, przed zdumionemi oczyma swoich przyjaciół i znajomych niezliczone bogate dary, któremi dyletantyzm rossyjskiéj arystokracyi obsypał wsławionego śpiewaka. Lecz ta radość nie długo trwała: ten sam, który był jeszcze w niedzielę tak dumny jak niegdyś Polykrates, jęczał już w poniedziałek: »*Ze suis rouinè!*« W pierwszym bowiem przestrachu byłyto jedyne słowa, jakie nasz, zawsze jeszcze z językiem francuzkim poważniony barytonista mógł wyrzec. Co chwila wznosił oczy do nieba, załamywał ręce i wzdychał: »*Zè suis rouinè!*« Na wszystkie pożałowania przyjaciół, pocieszania rodziny, odpowiadał on tylko jedną skargą: »*Zè suis rouinè!*« — »Ale ileżesto pan stracił na tém bankructwie?« ozwano się wreszcie do rozpaczającego śpiewaka. — »Dwakroć stotysięcy franków. Widzicie państwo, jestem zniszczony!« — »Zapewne, wielkato suma; jednakże jeszcze się panu nieco zostało. Wszak jesteś właścicielem tego domu, w którym mieszkasz.« — »Ach, tak jest! Ale jestem zniszczony!« — »Nie posiadaszże pan jeszcze jednę kamienicę w ulicy Tronchet?« — »Ach, tak jest! Lecz cóż mi to pomoże! »*Zè suis rouinè!*« — »Dwie duże kamienice w najpiękniejszych dzielnicach miasta Paryża! Kto ma tyle, ten się jeszcze ma nie źle.« — »Ach mój Boże, czemużem mego całego majątku nie obrócił na zakupienie domów! Nie byłbym teraz zniszczonym. Ach ci bankierowie! Wypowiedziałem natychmiast Rotszyldowi, com ulokował u niego.« — »Więc masz pan jeszcze pieniędze i u Rotszylda?« — »Tak jest, maleńki kapitalik.« — »Zapewne grosz od ostatniéj potrzeby?« — »Tak jest. Ośmkroć stotysięcy franków. Lecz cóż mi z tego? *Zè suis rouinè!*« — Widzimy tedy, że Tamburini jest człowiekiem zniszczonym, będąc zawsze jeszcze panem milijonowym. Mamyż go przeto żałować? Jest i będzie zawsze zniszczonym, niechaj kto co chce gada. Przedsięwziął sobie jednak powetować doznaną stratę. Wezwano go pod najświetniejszémi warunkami na trzy lata do Rossyi. Chciał wprawdzie Tamburini z następną wiosną opuścić teatr na zawsze, i w spokoju, jeżeli już nie używać, to przynajmniej zarządzać i mnożyć swój majątek. Ale będąc teraz zniszczonym, i mając nadzieję wynagrodzić swoją szkodę, i jeszcze nowy zbiór pierścieni, szpinek, tabakier i t. p. kosztowności złożyć, postanowił Tamburini udać się jeszcze raz do Petersburga, zachwycać swoim pięknym głosem rossyjskie uszy, przebyć trzy nowe lata tryjumfów, i obrachować się potém, jak się też ma rzecz z jego zniszczeniem. Niéma złego coby na dobre nie wyszło.

O księciu Pückler-Muskau powiadają, że w ostatnich czasach nieraz na swoich arabskich koniach 8 niemieckich mil w 2 godzinach ujechał. Byłabyto mniéj więcéj ta sama szybkość, z jaką zazwyczaj parowe wozy na żelaznych kolejach jadą.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.